

NIE PŁYŃ

Elin
Anna
Labba

NA

Przełożyła Agata Teperek

MORZE

MARGINESY

The cost of this translation was supported by a subsidy from the Swedish Arts Council, gratefully acknowledged.

Far inte till havet

COPYRIGHT © Elin Anna Labba, first published by Norstedts, Sweden, in 2024.
Published by agreement with Norstedts Agency and Booklab Literary Agency.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Teperek
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

To dla Was z wiosek pod wodą

CZĘŚĆ PIERWSZA

Miałam nazwę, której już nie pamiętam. Moje wspomnienia są mgliste, większość tonie, tylko niektóre wynurzają się czasem na powierzchnię. Miałam cieśniny, brzegi, wodospady i zatoki.

Pływały we mnie ryby. Nade mną latały ptaki, wtedy tam byłam.

*Byłam jeziorem, z nazwą i pieśnią. Ci, którzy tu
mieszkali, joikowali mnie... Na-na, pamiętam,
że tak śpiewali, na-na, śpiewali, zanim... Zanim
taka się stałam.*

Byłam siedmioma jeziorami, które ludzie w czerwieni, przybywszy nad moje wody, połączyli w jedno. Napętniali mnie i opróżniali, opróżniali i napętniali. Zagarnęli mnie, a ja mogłam tylko szeptać. Błagam, zostawcie mnie, proszę was, proszę. Płynące z góry potoki ustały. Ludzie zmusili mnie, bym zapadła się głębiej, zmieniałam się w morze i szum wodospadów ucichł...

Rozrosłam się, a fale się spiętrzyły.

*Byłam przejrzystą górską wodą, która stała się
ciemną otchłanią, mokra tkanina zatonęła. Czu-
łam przy ustach miękkie ściany goahti, białe
koronki czepków kobiet. Tych mających odwagę
wejść na mój cienki lód.*

*Wciąż tu jesteśmy, na-na, nigdzie się nie wy-
bieramy. Siivujávri, dobre jezioro, tak śpiewali,
moja pamięć miała jednak zniknąć. Zalałam...*

*Zalałam ptaki, drzewa, dziecięce bućki między
kamieniami. Zalałam łódzie, które zrobiły się
nagle zbyt małe.*

Zagarnęli mnie.

*Siivujávri, Siivujávri, zostań, wciąż śpiewali
ludzie, ale ja nie rozpoznawałam już tych pieśni.
Zatopiłam je.*

Jezioro sięgnęło ich *goahiti*. Błękitne drzwi stały otworem, a kolorowe listewki odbijały się w wodzie. Czy drzwi się poruszyły? Inndze musiało się coś przywidzieć. Tej letniej nocy nie było wiatru, w słońcu jezioro lśniło jak masło, a może jak tran. Tłusty i lodowaty. Wszystko się ze sobą stapiało: jezioro, góry, wioska. Na brzegu, który przestał być brzegiem, Ingá stała w milczeniu. Próbowwała coś powiedzieć, nie była w stanie. Jezioro jakby pochłaniało jej słowa. Znajdowały się gdzieś pod powierzchnią i wyciągały się do niej.

Obok niej stała Rávdná i trzymała się brzozy, a kawałek dalej na kamieniu kołysała się Ciotka Ánne. Wyglądało to tak, jakby poruszał nią wiatr, choć nie wiało. Nad nimi krążyły dwa małe ptaki – podróżniczki – i szczebiotały. *Čii, čii*. Ingá spoglądała na kępę traw na jeziorze, gdzie w gnieździe siedział trzeci ptaszek. Bardziej szary. Czubkami skrzydeł muskał wodę.

Jezioro dochodziło do szczebliny i poruszało łuszczącą się białą farbą. Rávdná zawsze rugała córkę, gdy ta podważała paznokciem odchodzące płatki. Co stanie się z łuskami pod wodą? Czy po namoknięciu te suche okruchy będą się lepiej

trzymać, czy od razu odpadną? Koło okien, na wyłożonych darnią ścianach, kwiaty czekały na swoją kolej.

Pośród tego wszystkiego panowała cisza.

Ingá ukucnęła i wyciągnęła z wody filiżankę. Na cienkiej białej porcelanie herbaciane różyczki marzły jak kwiaty zaskoczone przez śnieg. Filiżanka była lodowato zimna. Ingá jej nie poznawała. Nie należała do nich. Odłożyła ją więc z powrotem na mech i już miała się podnieść, kiedy Rávdná wydarła się na całe gardło.

Ingá straciła równowagę, ale mimo wszystko ustała.

– *Neavrri engelat* – krzyczała jej matka. – Wy, anioły z piekła rodem. Mogliście chyba poczekać, przekłęci piekielnicy – wydzierała się w stronę ciężkiej wody. – Nigdy więcej tak nie róbcie.

Potem dalej wołała coś, czego Ingá nie rozumiała. Krzyk wznosił się jakby z dołu, przechodził przez mech do nóg. Owijał się wokół kostek niczym trawa, potem przesunął się do oplatających buty tasiemek i tak napinał utkane nici, że odcinały dopływ krwi.

Ingá wprawdzie nieraz słyszała, jak matka się wścieka, ale czegoś takiego jeszcze nie doświadczyła.

Ciotka Ánne ostrożnie się wyprostowała i objęła Rávdnę w talii.

– *Dee, dee* – uspokoiła ją.

Ta, która unikała wszelkiego dotyku, przytuliła teraz swoją drobną starszą siostrę.

Ingá odeszła od nich kawałek. Opadła na intensywnie żółty wełniany koc, który leżał do połowy w wodzie. Wokół kwitły na

fioletowo bodziszki. Ciepłe barwy. Był środek nocy, ale słońce wciąż świeciło złościście. W jego świetle roślinność aż lśniła. Niskie pokrzywione brzozy. Trawa. Pod wodą wszystko miało wyrazistsze barwy niż na lądzie.

Nagle rozległ się plusk i Ingá się odwróciła.

Rávdná weszła do jeziora. Trzęsąc się z zimna, parła przez wodę do darniowego *goahti*, w którym dotąd mieszkaly. Gdziekolwiek spojrzeć, ludzie z wioski brodzili w wodzie zatoki, jakby tylko czekali na znak. Rávdná najpierw podciągała *gákti*, ale gdy woda sięgnęła jej do kolan, dała sobie z tym spokój i szeroka spódnica unosiła się teraz wokół niej na powierzchni niczym promienie słońca. Szła najszybciej, jak tylko mogła. Chwycała się pokrytej torfem ściany ich dawnego domu i przecisnęła się przez drzwi. Potem zniknęła im z oczu.

Ingá zajrzała za nią do środka, *goahti* zdawało się ciemne, ale dobrze wiedziała, że promienie nocnego słońca oświetlają Rávdnę przez *reahpen* – dymnik. Jak zawsze. Letnie noce mieszkaly wraz z nimi w *goahti*. Słoneczne i pełne cieni. Gdy zasypiały i gdy się budziły, na zewnątrz było widno. *Goahti* jakby zapisywało, wchłaniało w ściany pogodne wspomnienia dla tych, którzy tam mieszkają. Kiedy śpi się w darniowym *goahti*, jest się tak blisko ziemi, jak tylko się da bez kopania w niej, a zarazem jest się tuż pod niebem.

– *Dál* – szepnęła Ciotka Ánne. – Teraz.

Rávdná wyszła z *goahti*. Wreszcie. Ingá dorastała w przekonaniu, że jeziora trzeba się obawiać, bo trzeba. Wiedzę o tym, że nie wolno wchodzić do wody, przekazywano w wiosce

z pokolenia na pokolenie. Można pływać po jeziorze, nie w nim. I zawsze należy uważać.

„Nie wolno się kąpać ani zanurzać bardziej niż do połowy kolan. Nie powinno się stać zbyt długo w wodzie”, przypominano.

Rávdná wróciła do nich na brzeg z blaszanym wiadrzem w objęciach. Poruszała się gorączkowo. Sukno *gákti* pociemniało, była mokra do ramion. Najwyraźniej pochylała się w *goahti*, żeby coś podnieść z podłogi. Kaftan kleił się do jej żyłastych nóg. Trzęsąc się z zimna, wyrzuciła przemieszaną zawartość wiadra na trawę: metalowy imbryk do kawy, szczotkę, zdjęcie Ingi, na którym ta trzyma się za warkocze.

Ingá podniosła fotografię. Własnoręcznie przymocowała ją kiedyś do ściany, dumna ze swoich włosów, z tego, że są tak samo czarne i grube jak włosy Rávdny i Ciotki Ánne, mimo że poza tym tak bardzo się od nich różni. Zdjęcie było pomarszczone, mokre. Z dziurką po pinezce. Z tego, co Ingá wiedziała, istniało w jednej odbitce. Ale było tyle rzeczy, o których nie miała pojęcia.

– Pomóc? – spytała.

Jej głos był słaby. Słyszalny, ale jakby nie do końca się niósł. Oczywiście, że powinna pomóc, tak się robi, kiedy ma się trzy-nastcie lat i jest się na wpół dorosłym, w niczym się nie jest naprawdę dobrym, ale mimo wszystko nosi się ciężar oczekiwań.

– Mam tam pójść? – spytała nieco głośniejszym głosem i odwróciła się do kucającej Ciotki Ánne, której futro muskało powierzchnię wody.

Ciotka wciąż miała na sobie strój z łodzi, choć było tak ciepło. Spojrzała na nią, ale dalej tylko się kołysała. Ingá odczytała

to jako „nie”. Jeśli Ciotka Áinne uważałyby, że siostrzenica powinna pomóc, to przynajmniej kiwnęłaby głową.

Rávdná wróciła z apteczką, którą zdążyła opróżnić do wiadra.

Potem z obciętymi zasłonami w róże.

Podawała je Inǵde, a ta przejechała palcem po krawędzi biegnącej przez ciemnoróżowe kwiaty na materiale. Słońce także przez niego przebijało.

„Zaciągnij zasłony, żeby nic nie wpadło w oko tym z podziemia”, przypominała jej często Ciotka Áinne.

Na filiżance, którą Inǵa znalazła, były niemal identyczne kwiaty. Może wszystkie róże są do siebie podobne, Inǵa nigdy ich nie widziała na żywo. Kobiety z wioski kochały róże i inne duże kwiaty.

Ułożyła ich dobytek w rzędku na trawie. Jej rodzina nie posiadała zbyt wiele, ale to, co miała, przechodziło zawsze staranną selekcję. Były to rzeczy, które zostawały tutaj na zimę, żeby być pod ręką, gdy dotrą do letniej krainy. Nic nie znalazło się wśród nich przez przypadek, Rávdná oszczędzała, żeby było je na to stać. Inǵde stale towarzyszył niepokój. Czy jeśli coś zginie, wystarczy im pieniędzy, żeby to odkupić?

– Niech to szlag – zaklęła Rávdná. – Wszystko zalane.

Woda z niej kapiała, a ona oklepywała nogi, żeby odzyskać czucie. Masowała palce. W nocnym słońcu górskie granie lśniły czerwono, a strumienie białe niczym mleko płynęły w dół stromych zboczy. Ptaki podlatywały bliżej, niż powinny.

Ludzie wciąż wędrowali tam i z powrotem. Przenosili się na zachód, jak zawsze, tego roku jednak dotarli do osady później

niż zazwyczaj. Nie dużo później, ale już kilka dni wystarczyło, żeby nie zjawili się na czas. Tama stała gotowa. Wiedzieli o tym. Nikt jednak nie przypuszczał, że jezioro podniesie się tak szybko.

Ingá nie miała pojęcia, jak długo tam stała i się przed siebie gapiła, w którymś momencie Ciotka Ánne chwyciła ją za rękę. Wczepiła dłoń w jej ramię niczym szpony.

– *Boad’ë* – powiedziała. – Chodź.

Ingá podążyła za jej zgarbionymi plecami do tobołków. Ciotka zdjęła je i rozpostarła na ziemi skórę renifera. Poklepała w nią ręką, jakby przywoływała do siebie szczeniaka.

– Odpocznij sobie, odpocznij.

Sama chwiejnym krokiem po coś poszła.

Ingá ściągnęła czepek wykończony koronką i usiadła między kępami traw. Pociła się w ciasnym *gákti*. Wełna uciskała ją w biodrach i z tyłu, na plecach. Rękawy były za krótkie. Najpierw Rávdná twierdziła, że uszycie nowego kaftana wymaga zbyt dużo materiału i że Ingá jest na tyle duża, żeby zrobić to samej. Potem oświadczyła, że uszyje córce nowe *gákti*, kiedy dotrą do letniej krainy. Na lato zawsze przenosiły się tutaj, na zachód. Do domu nad jeziorem. To tu każdego roku zabierały się do naprawiania rzeczy, tutaj czas wszystko leczył. Ale kto by teraz szył? Ingá przejechała palcami po długim żdźble trawy. Liście były nagrzane. Czy na pewno nastał już ranek? Woda lśniła między drzewami i ktoś joikował. Ingá jeszcze nie słyszała, żeby tu joikowano. Robiono to daleko stąd, w górach lub na wodzie, gdzie nikt nie słyszał.

Skuliła się jak kamień i ramionami objęła kolana, wyczuła piersi. Wciąż były. Podłubała w dziurze pod pachą, gdzie jej *gákti* się rozeszło. Nadstawiła uszu, żeby się dowiedzieć, skąd dochodzi joik, śpiew jednak ucichł.

Słyszać było tylko ptaki przelatujące nisko nad zatopioną osadą.